

Podaj dalej

Po tylu latach niby nie powinno być tremy, nie raz się człowiek wygłupiał przed tłumem, od tego wykładu jednak zależała ponoć dalsza współpraca. Rutyna rutyną, ale przy takim obciążeniu stres zaczynał mnie podzierać już kilka minut przed wejściem na ambonę. Głębokie oddechy, liczenie do dziesięciu, wszystkie te kursowe metody radzenia sobie z publicznością nie bardzo chciały pomóc. Podsunęłam się wygodnie z fotelem, zmieniłam okulary, poprawiałam żakiet, włączyłam mikrofon, sięgnęłam po torbę z laptopem. Słuchacze sprzyjali, wiedziałam, że temat mam ograny, jednak nerwy puszczały.

I wtedy się pojawiła. Otworzyłam laptopa – była w środku. Czekala. Dostrzegłam ją kątem oka, przypuszczam, że zupełnie odruchowo się uśmiechnęłam, delikatnie ją przeniosłam z powrotem do torby, zamknęłam zamek. Gdyby ktoś filmował ten moment, musiałby dostrzec, co się ze mną stało. Ze spokojem zaczęłam wykład.

12, a może 13 lat temu? Nikt nie zaznaczył w kalendarzu dnia, kiedy pojawiła się w naszym domu, dlatego dzisiaj tak trudno ustalić jej wiek. Łatwiej można obliczyć wiek takiego np. kota – po układzie zębów. A ona? Nie ma zębów. Słojów w przekroju też nie ma. Na datowanie radiowęglowe za młoda. Cała nasza wiedza zasadza się więc na sentymentalnej retrospekcji pewnego jesiennego popołudnia, 12-13 lat temu.

Znajomi odwiedzili nas z dzieckiem. Wieczorem, kiedy już sprzątaliśmy pozostałości po tsunami (wróc: po trzylatku!), okazało się, że za fotelem, obok ćwiartki biszkopta umazanego w powidłach śliwkowych, pokrywki od garnka, kółka od Bugatti (Burago!) naszego syna i (połowy) okładki „Imienia Róży”, leżała ona. I tak się zaczęło.

Czasem znajduję ją w bucie, czasem w kieszeni płaszcza, niekiedy w pudełku na kanapki. Zwyczajnie: jest przerwa między wykładami, wyciągam żółte półokrągłe pudełko, otwieram i w środku – jest. Z uśmiechem pomagam jej przenieść się do torby albo do kieszeni. I wtedy to z kolei ja w domu mam władzę, gdzie i komu ją wcisnąć. Łąduje więc w mikrofalówce, pudełku po kawie, w portfelu męża albo pod poduszką syna.

Zdarza się, że znika na kilka miesięcy. Wystarczy, że ktoś ją nieopatrznie włoży do kieszeni zimowej kurtki. Potrafi przeleżeć tam cały sezon. Później znów do nas wraca – i coś nam przywraca. Akurat ta nieobecność nic nie zmienia.

Chyba nie zdarzyło się przez te lata, by któreś z nas cokolwiek o niej na głos powiedziało. W domu temat nie istnieje. Zresztą jak mówić? I po co? To ona tak naprawdę mówi – i to wystarczająco wiele. Mówi o tym wszystkim, o czym nam trudno. Jest naszym dialektem domowym, językiem zastępczym, mową podręczną. Można przy jej pomocy kodować dowolny sygnał, przemycić każdą emocję, podświetlić jakąś subtelność, niuans, którego nigdy nie wypowiemy. Raz niesie czułość, wzruszenie, nawet tkliwość. Innym razem znaczy po prostu: „jestem”. I „nie gniewaj się”, i „nie gniewam się”. Bywa kwiatem, czekoladkami, butelką szampana, bransoletką. Czasem przyganą – kiedy któreś z nas poświęca reszcie nie dość uwagi. Właściwie, odkąd ją mamy, nie musimy mówić o miłości. Ona wystarcza. Znaleźć ją, znów znaleźć i wiedzieć, że o n ją zostawił. Absolutne poczucie bezpieczeństwa. I oczywiście znaleźć ją w najmniej oczekiwanym momencie i w najbardziej wycudowanym miejscu – a to z kolei ten pieprz. I pewność, że trochę dawnej fantazji każde z nas jeszcze ma w zanadrzu i nie zawaha się jej użyć. Jakby co.

Po śniadaniowym śpięciu z synem wcisnęłam mu ją do piórnika. W pracy odczytałam smsa: „Pewnie, że wiem. Przecież ja Ciebie też”. To wczoraj. A dziś znalazłam ją w lodówce, tam gdzie powinny być jogurty. Market pilnie konieczny. Rozumiem.

Małgorzata Szadkowska-Borys

Chińska tandeta – pstrokata, z przetartą piętą, pełna sterczących nitek, niebieska w pomarańczowe wzorki, którym nigdy się nie przyjrzałam. Nie ma nazwy. Mogła skończyć żywot razem z ćwiartką biszkopta umazanego śliwkowymi powidłami, w koszu. Albo wrócić do właściciela, o ile z niej nie wyrósł, zanim się znajomi kolejny raz u nas pojawili. A jednak. Któreś z nas – w przyptywie czułości czy złości, z nadmiaru dobrego humoru albo nudy – wcisnęło skarpetę drugiemu w najmniej przystosowane do tego celu miejsce. I tak się zaczęło. Pewnie miało być zabawnie. Pewnie nawet było. Komu jednak mogłoby wtedy przyjść do głowy, że tak trwale wrośnie ona w nasz dom, w rodzinę? Że ustanowi dla siebie jakiś przedziwny alternatywny wymiar, będzie żyła odrębnym życiem, równoległym do naszego, a jednak będzie do niego codziennie przenikać? Przez te wszystkie lata zrodził się w nas jakiś szczególny mikrokosmos, pełen drobnych i czułych gestów, znaków, symboli, sygnałów. Niewypowiedzianych, niepokazanych, nieprzekazanych, niewykonanych. Po prostu: wystarczy zniszczona, zdeparowana, tandetna chińska skarpetka, znaleziona za fotelem w stołowym, podrzucana sobie nawzajem niezliczoną ilość razy. Urosła do roli niezwyklego medium przejmując na siebie ciężar niejednej trudnej rozmowy i lekkość niejednego czułego gestu.

I nie mam pojęcia, jak inni sobie radzą.

Małgorzata Szadkowska-Borys
28 maja 2011

Gazeta Literacka Migotania, 2(31)/2011, str.2